

## P r o t o k ó ł .

8

Dnia 9 listopada 1946r. w Warszawie, Sędzia Apelacyjny Sledczy do spraw wyjątkowego znaczenia, Józef Skorzyński, działając jako członek Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce, przesłuchał w charakterze świadka, stosownie do art. 107 i 115 k.p.k. niżej wymienionego, który zeznał, co następuje:

Nazywam się - WŁADYSŁAW MAZUREK, syn Marcina i Władysławy, urodz. 21.I.1907r., rz-katolik, lekarz weterynarii, major W.P., mieszkam w Pruszkowie, ul. Parkowa 10 m.3, niekarany.

Od lutego 1944r. byłem wiceprezesem Zarządu Delegatury R.G.O. w Pruszkowie. Nie wiem na czyje zarządzenie został utworzony w sierpniu 1944r. w Warsztatach Kolejowych w Pruszkowie obóz dla ludności cywilnej, wysiedlanej przez Niemców z Warszawy w związku z Powstaniem Warszawskim. Warsztaty kolejowe były już w tym czasie nieczynne, gdyż maszyny i urządzenia zostały rozmontowane kilka tygodni temu i wywiezione do Firchau obok Piły. Po południu 6 sierpnia 1944r. prezes delegatury R.G.O. w Pruszkowie, ks. proboszcz Edward Tyszka zakomunikował mi, że w tymże dniu był wezwany przez komisarza m. Pruszkowa, Bocka, który w obecności starosty pow. Warszawskiego, Rupprechta, polecił mi, jako przedstawicielowi R.G.O., zorganizowanie zbiórki 5,000 talarzy i łyżek w ciągu najbliższych godzin i zgromadzenie ich na terenie warsztatów kolejowych dla mającej przybyć ludności Warszawy. Pierwszy transport wysiedlonych przybył do Pruszkowa w dniu 7 sierpnia w godzinach rannych, pędzony pieszo około 15 klm. Liczył on kilka tysięcy mieszkańców Woli, którzy po przybyciu do Pruszkowa byli w stanie kompletnego wyczerpania zarówno fizycznego, jak i nerwowego. Transport składał się



3 4  
~~8~~

z kobiet i dzieci. Mężczyzn w sile wieku nie było w nim prawie wcale. Ludzie byli strasznie wygłodzeni, wielu z nich od kilku dni nie miało nic w ustach, a wszyscy niemal od tygodnia nie jedli ciepłej strawy. Wiele kobiet i dziewcząt zgwałconych w Warszawie zgłaszało się o pomoc lekarską. - W pierwszych dniach kierownictwo obozu spoczywało w rękach: oberführera SA Stephana i sturmbannführera SS Augusta Pollanda, który miał do dyspozycji funkcjonariuszy "Arbeitsamtu". Wszystkie bramy obozu obsadzone były przez żandarmerię. Kiedy za pierwszym transportem zaczęły napływać następne i zrospaczone tłum rannych, poparzonych i chorych wysiedleńców rósł coraz potężniej stało się jasnym, że zarówno Stephan, jak i Polland nie byli przygotowani do prowadzenia takiego obozu. Poza zbiórką naczyń i przygotowaniem pomocy lekarskiej przez jednego lekarza żadne inne przygotowania organizacyjne nie poprzedziły przyjscia pierwszych transportów. To też wszelkie próby ze strony wymienionych, zmierzające do opanowania tumultu, powstałego chaosu i ujęcia masy wysiedleńców w jakiegokolwiek karby organizacyjne pozostawały bez rezultatu. Ochrypli, charcząc już tylko, gubili się po prostu w natłoku, strzałach i jękach. Niemcy mieli bowiem jeden tylko argument w stosunku do Polaków - strzał i jedną tylko nazwę - "bandyci". To też strzały padały co chwilę i co chwilę przynoszono rannych do opatrunku z ranami postrzałowymi. Ilustracją stosunków, panujących wówczas w obozie niech będzie fakt, który pozostał w mej pamięci: w pewnej chwili zauważyłem wśród tłumu wysiedlonych obłąkaną niewiastę, która, według informacji jej sąsiadów, po stracie najbliższych straciła zmysły. Ponieważ swoim zachowaniem drażniła otoczenie, zwróciłem się do wachmistrza żandarmerii z prośbą, ażeby pozwolił mi ją wyprowadzić i odesłać do szpitala w Tworkach. Odpowiedź jego brzmiała: "Po co, ja ją w tej chwili zastrzelę i będzie spokój". Zarepetował pistolet i zbliżył się do obłąkanej,



chcąc wprowadzić w czyn swoje słowa. Dopiero moje prośby, przytrzymanie ręki z rewolwerem i ukrycie obłąkanej w tłumie przez jej najbliższe otoczenie na skutek moich rozpaczliwych znaków - zapobiegło tragicznemu zakończeniu. - Nie będąc w stanie opanować sytuacji wspomniany Stephan po 2 czy też 3 dniach upił się, pobił ludzi, z Niemcami się pokłócił, wyjechał z obozu i więcej nie wrócił. Kierownikiem obozu pozostał wtenczas sam Polland, który, będąc prawie stale pijanym, chodził po obozie z rewolwerem w ręku, strzelając i bijąc przy lada okazji. - Dla całości obrazu należy dodać, że hala Nr.1, do której na początku kierowano transporty była nieprawdopodobnie zatłoczona i ludzie, mimo wymyślań żandarmów, bicia i kopania zaczęli przelewać przez wyjście. Wtenczas dla ciężiej chorych i rannych zajęto halę Nr.2, ale i to nie pomogło. Hale zarzucone były najrozmaitszym żelaztwem, odpadkami i śmieciem, zalane oliwą i smarami oraz pokrajane liniami szyn, między którymi znajdowały się niemal na całej ich długości tzw. doły rewizyjne, służące do reperacji podwozia wagonów. Podłoga zalana była wodą. Wszędzie po kątach ekskrementy ludzkie. Tłok i zaduch nie do opisania. Najbardziej dyskretne czynności ludzie zmuszeni byli wykonywać na oczach wszystkich. Pierwsze transporty, przybywające z Warszawy, nie były poddawane żadnej segregacji. Po pewnym czasie, gdy nadeszły pierwsze pociągi towarowe, wywożące wysiedlaną ludność na dalszą tułaczkę, ładowano ją również bez żadnej segregacji, zarówno chorych i rannych, jak i konających, wypychając jeden transport za drugim w nieznaną. Czasem, zanim taki transport odszedł trzeba było usuwać zwłoki zmarłych już w wagonach. Po odejściu pierwszych transportów zaczęły się najstraszliwsze przeżycia wysiedlonych - segregacja i rozrywanie rodzin. Czynności tej dokonywali żandarmi wraz z funkcjonariuszami "Arbeitsamtu" wśród ryków, bicia, i kopania, tworząc osobne transporty mężczyzn w sile wieku, co do których



11 6  
10

w obozie panowało przekonanie, że są przeznaczeni do likwidacji.- Od jakiegoś 10 sierpnia rozpoczęła się organizacja nowych władz obozowych. W tym bowiem dniu zjechała na teren obozu jednostka Wehrmachtu, składająca się z 7 czy 8 oficerów, kilku podoficerów i kilkudziesięciu żołnierzy niemieckich, Prócz tego w skład tej jednostki wchodziła grupa kilkudziesięciu jeńców, żołnierzy radzieckich. Komendantem całej jednostki był pułkownik niemiecki, Sieber, oficer starej daty i może właśnie dlatego wyjątkowo, jak na Niemca wrażliwy na ludzkie nieszczęście. Pierwszym jego zarządzeniem był zakaz strzelania na terenie obozu. Jakkolwiek nie usunięta została przez to całkowicie ta plaga, wniósł on jednak pod tym względem pewną poprawę.- W tym samym mniej więcej czasie zorganizowano i władze SS. Komendantem obozowego SS był Sturmbannführer SS Diehl, urzędujący w obozie przez cały dalszy czas jego trwania. Był to człowiek zimny, opanowany, małomówny, ale zdolny z żelazną konsekwencją przeprowadzić wszystko, co zechce.- Po kapitulacji Warszawy Diehl stanął na czele "Raumungstelle", który się mieścił przy ul. Wolskiej, a którego zadaniem było przeprowadzenie systematycznego rabunku mienia, pozostawionego przez polską ludność oraz dokończenie dzieła zniszczenia Warszawy.- Kancelaria obozowego SS używała na wydawanych przepustkach i zaświadczeniach nagłówek "Stab SS General Sendel" oraz okrągłej pieczęci z "wroną" po środku i napisem w otoku: /Generalgouvernement der SS und Polizeiführer im Distrikt Warschau". - Działalność SS w obozie polegała na sprawowaniu tam głównej władzy, konwojowaniu transportów z Warszawy, a czasem do Niemiec, przeprowadzaniu wespół z "Arbeitsamtem" segregacji wysiedlonej ludności na zdolnych i niezdolnych do pracy, rozrywaniu rodzin, węszeniu i wyłapywaniu spośród wysiedlonych osób specjalnie źle zapisanych oraz na kontrolowaniu działalności polskiego personelu obozowego, a także i niemieckiego. Tak np. cięż-



ko chorych, przeznaczonych na wyjazd do jakiegoś z okolicznych szpitali, zestawiona przez polski personel, a sprawdzona i zatwierdzona przez niemieckiego lekarza wojskowego - musiała być jeszcze dodatkowo zaakceptowana przez SS. Jestem tego zdania, że Diehl decydował o celu i składzie liczbowym każdego transportu. - Na czele trzeciej władzy obozowej, mianowicie "Arbeitsamtu" stał wyżej wspomniany inspektor i Sturmbannführer SS, August Polland. On brał bezpośredni udział i nadawał charakter segregacji wysiedlonych. Ze specjalną zwierzęcą satysfakcją rozrywał( rodziny i biada było tym, którzy, chcąc pozostać na dole czy niedole razem, zdradzili się z tym jakimś nieopatrzonym słowem, czy też zachowaniem w jego obecności - musieli być rozerwani, choćby oboje mieli te same kwalifikacje, a więc np. nadawali się do pracy w Rzeszy, nie pojechali razem. Radością bowiem tego oprawcy był widok sprawionego bólu, krzywdy, żez, rozpaczy. Jeśli już nic innego zrobić nie mógł osobie samotnej, to odebrał jej np. ukochanego psa, jedyne towarzysza po stracie bliskich, kanarka, lub mizerny bagaż. Polland miał do swej dyspozycji kilkunastu funkcjonariuszy "Arbeitsamtu", z których część była umundurowana, reszta zaś chodziła po cywilnemu. Prawdopodobnie byli to Volksdeutsche, znali bowiem jako tako język polski. Wraz z wymienionymi pracowali "również specjálni inspektorzy" "Arbeitsamtu", noszący mundury administracyjne, podobne w kolorze do munduru Wehrmachtu, lecz z innymi naramiennikami. Głównym zadaniem "Arbeitsamtu" na terenie obozu było przeprowadzanie łącznie z SS selekcji ludzi, która odbywała się początkowo na terenie ogrodzonym drutem kolczastym tuż przy bramie Nr.14, później w hali Nr. 7, a w końcu przed halą Nr.5, która była halą przejściową. - Zasady selekcji były następujące: za niezdolnych do pracy w Niemczech uznani byli : a) matka z dziećmi do lat 15, b) kobiety ciężarne



z widocznymi objawami ciąży, c) kobiety powyżej lat 50 oraz d) mężczyźni ponad 60 lat, a w końcowym okresie ponad 50 lat, jak również wszyscy ułomni z widocznym na oko kalectwem. Ci wszyscy kierowani byli do hali Nr.1, skąd wysyłano ich na terny G.G. Uznanych za zdolnych do pracy wywożono do obozów pracy w Rzeszy. W okresach zaś największego nasilenia nienawiści niemieckiej do walczącej Warszawy, np. podczas walk na Woli lub po upadku bohaterkiej Starówki, jak również Czerniakowa, poszczególne transporty kierowane były do obozów koncentracyjnych, jak np. Oświęcim, Dachau, Mauthausen i inne. - Podane wyżej zasady selekcji wysiedleńczej w praktyce bywały pustym frazesem, podobnie jak oświadczenia Diehla, niejednokrotnie powtarzane przy uroczystych wizytach (ks. biskupa Szlagowskiego, Delegacji Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, von dem Bacha i innych) - klasyfikacji bowiem dokonywano nie na podstawie wieku, zamieszczonego w karcie rozpoznawczej i nie na podstawie zaświadczeń i orzeczeń lekarskich, lecz na oko i b. szybko. Przeprowadzali ją urzędnicy "Arbeitsamtu" i zwykli SS-manni w atmosferze krzyków, bicia, kopania oraz płaczu i próśb rozdzielanych rodzin, nie mających chwili czasu ani na pożegnanie, ani nawet na rozdzielenie wspólnie najeczęściej spakowanych bagaży. Rzut oka zwykłego "gemeina" - żandarma na twarz wysiedleńca był wystarczającą oceną do wydania wyroku: "zdolny do pracy - na lewo" niezdolny - na prawo". Odwołania od tego wyroku nie było! Jak już wspomniałem hale Warsztatów Kolejowych, w których umieszczano wysiedleńców, nie odpowiadały elementarnym wymogom higieny, a zupełny brak słomy uniemożliwiał jakikolwiek, bodaj kilkugodzinny wypoczynek strudzonym i do ostatecznych granic wyczerpanym wygnańcom. Niejednokrotnie hale były dosłownie przepełnione - mieściły do 10 tysięcy osób. Pobudowane ad hoc klozety były niewystarczające, a brak urządzeń kanalizacyjnych sprzyjał zanieczyszczeniu, wskutek czego zaduch panujący był częstokroć nie do opisanego. Grupa porządkowa



składała się z małej ilości radzieckich jeńców wojennych i podlegała wyłącznie komendanturze obozu. Wyszędleni zaś przepływali zbyt szybko przez obóz, by sami byli w stanie uporządkować niechlujny stan baraków, co było by jedynie możliwe w wypadku całkowitego opróżnienia takowych. - Według obliczenia Obozowej Sekcji Delegatury R.G.O. przez obóz przejściowy w Pruszkowie ("Dulag 121") przeszło w przybliżeniu 685 tysięcy mieszkańców Warszawy i miasteczek okolicznych. - 20 sierpnia obóz w Pruszkowie zwiedził ks. biskup Szlagowski, który rozmawiał z wysiedlonymi, wysłuchiwał ich skarg i interweniował u władz obozowych w przedmiocie rozrywania rodzin i niezwalniania księży oraz sióstr zakonnych. Chociaż Diehl solennie obiecywał biskupowi Szlagowskiemu, że zadośćuczyni jego dezyderatom, jednak dosłownie w parę minut potem dawał sprzeczne z tym zarządzenia i żadne zmiany na lepsze nie nastąpiły. Jedyne wyjątki stanowiło udzielenie zezwolenia 3 księżom Pallotynom na sprawowanie funkcji duszpasterskich w charakterze kapelanów obozowych. - 5-go września, kiedy niemieckie władze obozowe czekały na przybycie ze Szwajcarii zapowiadzanej delegacji Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, Diehl wezwał ks. Tyszkę i mnie, jako przedstawicieli R.G.O. w Pruszkowie, żądając podpisania przygotowanej przez niego deklaracji, stwierdzającej, że oswobodzona ludność Warszawy, przebywająca w przejściowym obozie w Pruszkowie, znajduje się o tyle w dobrym położeniu, o ile pozwalają na to miejscowe warunki, że ma dostarczane środki żywnościowe oraz, że korzysta z opieki lekarskiej i duchowej, a jakiegokolwiek nadużycia względem niej nie mają miejsca. Wprawdzie końcowy ustęp deklaracji opiewał, że oświadczenie to wydana się na życzenie władz niemieckich bez przymusu, Diehl jednak oświadczył nam, że na wypadek nie podpisania deklaracji, będą z tego konsekwencje i polski personel zostanie usunięty z terenu obozu. Groźba uniemożliwienia nam niesienia dalszej pomocy ludności



15 10  
14

Warszawy skłoniła nas do podpisania żądanej deklaracji, która w redakcji zmienionej ukazała się w "Nowym Kurierze Warszawskim". W dniu podpisania wspomnianego oświadczenia obóz w Pruszkowie zwiedził gen. von dem Bach. Po wizytacji ten ostatni oświadczył przedstawicielom personelu polskiego, którzy mu towarzyszyli, ażeby przygotowano się na przyjęcie większej ilości ludzi, ponieważ on nakaże w ciągu 3 najbliższych dni kilkugodzinną przerwę w działaniach wojennych przeciwko Warszawie, ażeby umożliwić ludności cywilnej opuszczenie miasta. Nadzieje von dem Bacha jednak się nie spełniły, gdyż pomimo rozrzucenia z samolotów ulotek i przerw w bombardowaniu Warszawy niewielka tylko liczba ludności i to przeważnie starców, dzieci i ludzi niezdolnych do walki, przybyła do obozu. - W połowie września nadeszły do obozu z Genwy 2 wagony z darami Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, przeznaczonymi dla wysiedlonych z Warszawy, a w ślad za tym odwiedził obóz przedstawiciel Międzynar. Czerw. Krzyża z Genewy, robiący wrażenie Francuza, który w rozmowach z przedstawicielami personelu obozowego zebrał obfity materiał do swego protokołu wizytacyjnego. W czasie przebywania w obozie delegacji z Genewy wysiedleni wywożeni byli z obozu całkiem "komfortowo" - wagonami osobowymi. - 26 września, po opuszczeniu przez Niemców dzielnicy Mokotów, przybyli do obozu w Pruszkowie 3-ej parlamentariusze AK z ośrodka Mokotów w polskich mundurach kroju angielskiego z pełnymi dystynkcjami, którzy, zwiedzając obóz, zachowywali się z taką godnością i powagą, że nawet Niemcy traktowali ich z respektem. Wywabieni z pod czujnej opieki oficera SS do umywalni pod pretekstem umycia się, oświadczyli: "skończyło się wszystko, innej rady nie ma". Następnego dnia przybył do obozu z Mokotowa oddział AK, liczący około 1,200 ludzi, w tej liczbie kilku "obrońców" w wieku 8-10 lat i jedna dziewczynka może 10-letnia również w mundurach z opaskami AK. W ślad za nimi zaczęły nadciągać transporty cywilnej ludności z Mokotowa. AK został izolowany



16  
11  
~~15~~

w hali Nr.7. Zaraz pierwszego dnia SS wpuściło do nich kilku Niemców, którzy byli w niewoli AK, a teraz odzyskali wolność. Chodząc z kijami w rękę wśród powstańców, Niemcy kilku z nich wyprowadzili za magazyn z jarzynami i poczęli bić ich kijami po głowach, zwłaszcza jednego - po obandażowanej rannej głowie tak, że wkrótce opatrunek z białego stał się czerwony. Zbitych zaprowadzono do tzw. "zielonego wagonu", gdzie urzędował Diehl. Powiadomiony przez polski personel o tym płk. Sieber zażądał od Diehla natychmiastowego zwolnienia grupy powstańców, twierdząc, że jeńcy wojenni należą do Wehrmachtu. Temu oddziałowi AK wydany był między innymi rozkaz zdjęcia polskich orzełków z beretów, noszonych przez żołnierzy AK. Kiedy nie podporządkowano się temu rozkazowi, zjawili się z nożami SS-manni, którzy odrzynali orzełki opornym, przy zachowaniu przez ostatnich całkowitego spokoju i pozornej obojętności. Śmiertelność w obozie wzrastała w miarę przybywania transportów ludności, która im dłużej przebywała wśród walk i pożarów walczącego miasta bez żywności i wody - tym słabsza fizycznie napływała do obozu. Zwłaszcza dało się to zaobserwować wśród wysiedlonych z dzielnic, w których toczyły się szczególnie ciężkie walki, zmuszające ludność cywilną do przebywania bez przerwy w schronach i piwnicach, co, wraz z przejściami moralnymi, usposabiało do najrozmaitszych zachorowań. Jeżeli uwzględnić wszystkich rannych, zasypanych i od-ratowanych, poparzonych i kontuzjowanych, stanie się jasnym, że procent śmiertelności musiał być wysoki, gdyż stan zdrowia tych ludzi wymagał natychmiastowej, troskliwej opieki szpitalnej lub sanatoryjnej, a tymczasem trafiali oni do pruszkowskiego obozu, w którym warunki sanitarne i higieniczne mogły dobić nie tylko chorego lecz nawet zdrowego człowieka. Stąd też był duży procent zgonów w okresie napływania mieszkańców Starego Miasta, Czerniakowa, Woli, północnej części śródmieścia i innych. Ustalenie liczby zgonów



w obozie nawet w przybliżeniu jest obecnie rzeczą niemożliwą, gdyż co do tego żadnej ewidencji w owym czasie nie prowadzono.- Jeżdżąc mniej więcej od 15-go sierpnia do Warszawy z pomocą dla pozostałych w mieście szpitali, miałem możliwość obserwowania w jak faktyczny sposób Niemcy rabowali mienie, pozostawione przez wysiedloną ludność. Dokonywano tego wszędzie w sposób prawie jednakowy, a mianowicie: Niemcy przywozili autami kilkudziesięciu mężczyzn spośród wysiedlonych warszawiaków, którzy podzieleni byli na grupy. Te ostatnie pod kontrolą Niemców wpuszczano do kilku stojących obok siebie domów. Wszelkie wynoszone z nich przedmioty segregowano z miejsca, układając na chodniku oddzielnie odzież, bieliznę, obuwie, futra, pościel, cenne obrazy, meble itp. Z liczby samochodów, przewożących "łup" na dworzec Zachodni, jedne zabierały tylko bieliznę, inne - pościel itd. W sposób podobny rzeczy te ładowano na dworcu do wagonów, odchodzących do Niemiec. Tak obrabiano dom po domu, ulicę po ulicy. Następnie przychodziła kolej na przewody tramwajowe, zdejmowane ze słupów oraz grube kable telefoniczne, wyciąganexxxxsłupów z kanałów i cięte na kawałki długości wagonu kolejowego.- Gdy ulica była już "oczyszczona", zaczynało swą działalność "Vernichtungskommando" - grupa niszczyielska, podpalając dom za domem, lub minując większe gmachy. Co drugi - trzeci dzień "Vernichtungskommando" przechodziło ponownie te same ulice, podpalając niestrawione jeszcze przez ogień piętra, piwnice, klatki schodowe lub pojedyncze mieszkania. Czynność tę powtarzano tak długo, dopóki ogień nie zniszczył dosłownie wszystkiego. W ten sposób zniszczone zostały prawie na moich oczach domy, otaczające Plac Narutowicza wraz z kościołem św. Jakuba, część ul. Filtrowej, Raszyńskiej, całą Szczęśliwicką, a tuż po kapitulacji - Kruczą, Żórawią i okolice. Do piwnic wrzucano granaty ręczne, aby wytracić ukrywających się tam ludzi. Domy, które pozostały, jak np. Dom Akademicki na pl. Narutowicza, szereg domów w Alei Jerozolimskiej i inne nie



uległy spaleni tylko dlatego, że w nich do ostatniej chwili t.j. wkroczenia oddziałów polsko-radzieckich, kwaterowały wojska niemieckie. Protokół przeczytałem.

/-/ W. Mazurek

/-/ J. Skorzyński.

Zgodność powyższego z oryginałem  
poświadcza się:

AH.

